

20 gr.

Skaut



*Dwutygodnik młodzieży harcerskiej
założony w r. 1911 przez A. Małkowskiego*

*My nieposłuszne Panie dzieci Twoje
w szczęśliwe czasy swoje
rzadko Cię wspominamy...*

(Jan Kochanowski: Treny)



NUMER 4.

CZAR WIGWAMU



powiniennem był wskazać wam wyście z bezadzielną na oko sytuacji dwoma palcami!

MĘDRZEĆ
potęga wiedzy
w
wątlem ciele
ROZUM
rozkwit i potęga
DUCHA



DZIKUS
siła cielesna
o
słabej inteligencji
MIĘŚNIE
rozkwit i potęga
CIAŁA

Dotąd rozwój jednego upośledzał drugie — a my musimy oba połączyć i zjednoczyć zdrowego ducha ze zdrowym ciałem.

Zwyczajnie przechodząc z pokolenia na pokolenie wciwniają się i nikomu nawet przez myśl nie przyjdzie, że możnaby odwieczny przesąd przełamać.

A przecież rozległ się zew-wolanie! To wstawanie do szepczących „elikatnych chłopów” tak starannie wychowywanych i pieczołowicie chronionych przed zimną wodą, zimnem powietrzem, wiatrem, deszczem i t. d., aby porzucisz zakurzone ulice i duszne mieszkania, poszli na lasy i pola żyć obozowem życiem.

Skutek nadszpedziwany. Ku zdumieniu matki jej mierny chłopak zamiast przez ciagle przebywanie na powietrzu, tak w dzień, jak i po zachodzie słońca (w nocy dorosły się rozchorować, zmęczał — i jakby rozpoczął i nowe życie, co zresztą rzeczywiście uczynił.

Maly waty Franek, który się zawsze trząsał się i chustką szczyj owijał, śmieje się w młodego Herkulesa, a Janek, który zawsze trząsał się i chustką szczyj owijał, śmieje się teraz z wiatrów i niepogody.

To było wielkie przebudzenie. Przejrzeliśmy. Próba została dokonana. Doświadczenie się udało. Korzyści wynikające z życia na wolności powietrzu staly się oczywiste.

Czyż nauka ta pójdzie w las a ludzie znnowu wrócą do ciasnych ulic wielkich miast? Czyż ratując dzieci nie zechcemy urządzić nowego wyjścia z ziemi egipskiej, z domu niewoli jutro? Dlaczego nie mamy urządzić powierzyć młodzieży?

Oto moja wizja: nowa wszechświatowa krucjata dziecięca do ziemi obiecanej lepszego przewodnictwa tego przedsięwzięcia powierzyć młodzieży? Oto moja wizja: nowa wszechświatowa krucjata dziecięca do ziemi obiecanej lepszego jutra świata. To jest moje pismo na ścianie. To właśnie urzałem wyraźnie wypisane wielkimi literami: Wyjście tedy!

WTÓRA KSIĘGA WIEDZY LEŚNEJ

Oto na rycinie obok widzicie piękny okaz człowieka, oczywiście z punktu widzenia kultury fizycznej, jaki się spotykało jeszcze doniedawna wśród szczepów czerwonoskórych a po dzisiaj dzień pośród czarnych plemion murzynskich. Wyrwałem ćwiczeniem, hartowaniem się i nieustannym treningiem każdy z nas może doprowadzić swoje ciało do takiego pięknego rozwoju, do gibkości członków, zręczności ruchów, sprężystości mięśni, do siły i zdrowia.

Mówilem Wam już co łączy medca z dzikusem — poprzestawanie na małym, pierwszym świadomie, drogi nieświadomie jest wyznacząca zasady, że szczęście człowieka nie polega na bogactwie i mnogości rozlicznych rzeczy, które się posiada.

Niewielu z pośród nas będzie miało odwagę zaliczać się w poczet mędrców, a jeszcze mniej zechce cofnąć się do sposobu życia dzikich plemion. Sądzę jednak, że bogactwo ducha można pogodzić z jednością ciała, zdrowym myślni z siłą mięśni. Człowiek dzięki był człowiekiem mocnym, żywotnym w każdym calu, w każdym włóknie swej istoty, miał zdrowe ciało, zdrowy instynkt i zdrowe zmysły — a te przymioty stanowią właśnie najlepszą podstawę dla rozwoju zdrowego — chłopskiego, jak to się mówi — rozumu i zdrowej, dobrej myślni. Popatrzcie tutaj: na obrazku macie medca i dzikusa, wielką wiedzę w wątlem ciele i mocne ciało o słabej inteligencji. Oba tytu wskazują na jedno i to samo. Wicie już teraz co miałem na myślni zwracając waszą uwagę w tym kierunku? Tylko zamiast jednym palcem

powiniennem był wskazać wam wyście z bezadzielną na oko sytuacji dwoma palcami!

REDAKCJA SKAUTA PRZEDSTAWIA SWOIM CZYTELNIKOM
NAJNOWSZĄ POWIEŚĆ AUTORA „BOGIANIACH WYPRAW”
— OSNUTĄ NA TLE BUJNEGO ŻYCIA HARCERSKIEGO P. T.

R Ó Ź A
WIATRÓW

1. Zgubiona lilijka.

Humbaj — tumbaj, hunciu draja
hunciu draja, hunciu draja
Bumgrat, bumgrat, bumek jaja
bumek, cyk, cyk — bum!

Zaczekaj na mnie tam pod chróstem,
Dam ci prezent, prezent z gustem,
Zaczekaj na mnie za tym chróstem
Dam ci prezent dam!

A co? a co? a co? a co?
Repete humbaj — tumbaj draja
Na śniadanie twarde jaja,
Na omaste kozi łój.

Romek wybiegł na przód kolumny marszerującej nogą w nogę, z piśniami na ustach zwartymi czwórkami i krzyknął z całego gardła:

— Drużyna-a! Urwali pieśń w pół słowa, przybili mo-no obcasami, tylko kurz uniósł się z pyłem pokrytego góścica.

— Stój! — wrzasnął Romek, który zawsze dawał komendę na lewą nogę. Jeden momek stuk i drużyna zniechęcała na drodze.

Romek przypatrzył im się uważnie. Chłopcy wyglądali zmęczeni, twarze mieli czerwone i spoczone, spod nabożonych na bakier rogatywek wystawały popłepiane kosmyki włosów, trzewiki i ponoczoły białe od kurzu a na plecach dźwigali potężnie wypchane tomistry.

— Rozejście się! Zakotłowali się na góścicu. Chłopcy zaczęli przeskakiwać przez rów, garnałi się pod mierny cień przydrożnych drzew, zrzucałi plecak na ziemię i wyciągali się na rzedziutkiej, siwej od prochu z góścica trawie.

— Druhu Romku! — zaczęli się dopytywać — Długi postój? Czy to odpocznęk? Będzie czas co przekasieć, druhu drużynowy? Józek ustąpił na słupku kilometrowym

i zaczął rozsznurowywać trzewik. Zdzieli mordował się ze sprzączką u paska, do którego miał przytroczoną manierkę.

— Dziurka mi wyskoczyła na picie — mówił Józek i otarł mi nogę. Jeszcze kilometr a będę gotów.

Zdzieli odkorkował manierkę, przytknął otwór do ust i połącznął. Przelknął kilka tyków, skrzywił się, splunął i otarł usta grzbietem dłoni.

— Tfu! — mruknął — woda ciepła jak kąpiel. Chcesz? — zapytał zwracając się do Józka.

— Dziękuję! W marszu nigdy nie piję, tylko się człowiek potem poci więcej. Co zrobić z tą dziurką? — Zdzieli zdjął rogatywkę, pochylił głowę i wylał sobie na nią całą zawartość manierki.

— Pr... — parsknął — to jest przyjemność w swoim rodzaju. A z tą twoją dziurką, to ci już dawno mówilem, że zamiast lichych ponoczoł, lepsze są solidne omice.

— Hej! chłopcy! — zawolał Józek — może mi który spuści „na tymczasem” zapasowe ponoczoły? Co? Jest tam taki?

— Jest tu jeden — odkrzyknęto z pod drzewa — ale się wystał!

— Nie wstał wspomóc dziurawego, brata, skauta lub bliźniego — odezwał się Hipek, który lubiał zaraz do wszystkiego układać przysłowia.

Romek przegladł mapę. Orientował ją wedle zakrętu biegnącego w dal góścica. Liczył kilometry, patrzył na zegarek, znnowu coś liczył, wreszcie schował mapę do skórzanej torby i zawolał.

— Uwaga! Nie rozbiegać się, nie rozlaźić. Nie rozpokiwać plecaków, za pięć minut odmarsz.

— Gwałtu! — zawolał Józek i porwawszy bućki do ręki, skacząc na jednej nodze wzdłuż góścica zbliżył się do drzewa pod którym siedział Hipek, Franek, Władek i inni.

— Franiu, miej litości — błagał — pożycz ponoczoły.

— Mam w plecaku, chętnie bym ci dał, ale słyszałeś nie można rozpakowywać.

— Franku radej się serca nie rozumu!
— Czy siak czy tak będziesz winny — niekarny lub nieuczynny — powiedział Hipek patrząc drwico na Franka.

Frank westchnął i sięgnął po plecak.
— Czego się nie robi z dobrego serca?
— mruknął wydobywając parę pończoch — ale zastrzegam sobie zwrot tej pary nie używając.

— Ta jak? w rękach będę niośł, a sam na bosaka, czy co?
— Te pończochy możesz sobie wziąć, a dla mnie kupisz inne, odkupisz mi w sklepie, tylko ten sam gatunek, pamiętaj!

Józek nawał się przebierał, właśnie kończył sznurować trzewiki, gdy głośny świst gwizdka drużynowego poderwał wszystkich na nogi.

— Ryszunek wdziej! — komenderował Romek.

Chłopcy pospiesznie rozkładali plecaki, jeden drugiemu pomagał zapiąć sprzączkę, lub nadąć ciężki ekwipunek na barki.

— W dwuszeru zbiórka!
Zaczęli się cisnąć jeden przed drugim, Wittek skacząc sypnął się do rowu, Józek pospiesznie zapychał pończochy pod klape toraistr.

— Co to za bałagan! — krzyknął Romek — każdy staje na swoim miejscu, odliczać nie będziemy, Józek nie guzdrzaj się, do szeregu. Spóźnił! Poprawić ryszunek, żeby się tam nikomu nie nie dyndało, żeby mi menażki i superki nie dawowały.

— Józek — szepnął Zdzich — przytocz mi lepiej manierę, bo sobie rady z tą sprzączką dać nie mogę.

— Baczność! — zawołał Romek — czwórki w prawo zwrot! Równy krok, kierunek naprost, drużyna — marsz!

Łup, łup, łup — trzy mocno przybite kroki i oddział ruszył z miejsca. Kurz się podniósł spod nóg, znurę podnosił się rytmicznie jakby za jeden sznurceck ciągnięto lewa prawa, lewa prawa.

— Odrabiano!

— Hul ha! — z pierśi maszerujących chłopców wybiegała na usta i uderzyła w powietrze na lasy i pola radośna pieśń:

Mijamy przyszłość, narodo

Piers nasza pełna jest sił

Dążymy do wolności grodu

Naprzd, lecz nigdy w tył

Leć nigdy w tył...

Chłopcy znikli w zakręcie, pieśń stawała się coraz słabsza, milka i w końcu całkiem roztopiła się w ciszę.

Na gościniu chroć opadł. Słup telegraficzny odprawiał cichutko swoje nieustanne, buczące głucho godziny. W rowie i w zbożu po obu stronach gościniu cikały wesoło

polne koniki i świerszcze, w powietrzu brzęczały muszki.

Jakiś ptaszek malutki nadleciał z pola, usiadł na drucie telegraficznym, zawiercał, odwrócił się ogonkiem do drogi, znów zawiercał, skubał się dzióbkiem za płótno, pokręcił główką w prawo, w lewo, rozwinął skrzydła i sfrunął znowu nisko nad zbożem daleko w pole.

Na pustym gościniu zjawiała się jakaś dziwna postać. Wysoki, szcuplej chłopak z długą łaską w ręce.

Na plecach miał niewielki worek turystyczny, przy boku torbę i opasany był wokół ramion długim zwojem lin. Chód miał dziwnie sprężysty i tak lekki, że spod nóg jego proch się wcale nie unosił. Szedł prędko, elastycznie, i tylko duże, żywe, czarne i ruczliwe oczy biegały wciąż na wszystkie strony.

Naraz przystanął. Spojrzał dokoła i uśmiechnął się.

— Więc to nie jest oddział wojskowy. Tutaj odpoczywał, papierki, lupy z jajeł w rowie i pod zbożem. Niedopalków nie ma, a żołnierze na krótkim postoju przedwzruszeniem pała. Tu ziemia wilgotna — widać niedawno stąd odeszli, komuś woda w manierze była zaczęła i wylał. Tam pod słupkiem kawałek czarnej tasienki — ktoś trzewik poprawiał, a tutaj ziemia nad rowem nadzarpnięta, ślady podłożu, komuś się nogi osunęły; a tam coś się bliżej — ach co widzę! lilijska, srebrna, blyszcząca harcerska lilijska.

Przybysz schylił się i podniósł ją.
— Więc to drużyna harcerska; szli jak wojsko, biwakowali jak uczniaki na majówce; tak, nie trzeba się dziwić, że zgubili lilijkę. Heł — mruknął chowając odnaka do kieszeni — to byłoby nawet dziwne, gdyby jej nie znalazł. Lilijska to nasz symbol skautowy.

Usiadł pod drzewem. Wydobył z kieszeni ołówek i notes. Oklworzył go — przez chwilę się namyślał, potem zaczął pisać szybko i drobno:

„Oto jest niebezpieczeństwo dróg. Gdy zgubimy kierunek na manowcach, wiemy, że zgubiliśmy drogę, gdy tracimy busole na gościniu okniem — to jest mimo to, że dobrze idziemy. Lilijska to kompas, który skautom wskazuje drogę.”

Zamknął notes. Na drucie telegraficznym na wszystkie strony i śmieśnie ruszał ogonkiem. Chłopak uśmiechnął się i powstał z ziemi.

— Gdybyż ptakiem byk — mruknął ptaki nie mają Bezaródów, ptaki nigdy nie błądzą, i posławszy ptaszkiwo ręką całusa zeszedł wolno na gościnię. (c. d. n.)

HARCERSKIE GNIAZDKO

obrazek sceniczny w jednej odsłonie napisał T. Waligórski

SCENA 3

Lusiek: (*sam*) Może się jeszcze wrócić... Udała mi się ta ciocięzka mojej żony. Jeszcze gotowa na stare lata zaciągając się do szeregow zuchów. Zuch ciocia! Zobacząc jaki to prezent dostaliśmy. Pewnie coś ze srebra albo złota. A może dolary, bo to bogactwo ciocia. (*Rozmija ciocię. Coś? (prze-razony)* Pończochy! Mało ich jest do naprawy. (*Po chwili*) Przepraszam! To są zupełnie nowe i jeszcze nie noszone. Dobra ciocięzka wiedziała co nam przywieźć, czem nas ucieszyły. Ada będzie miała w czem chodzić, ja zaś nie będę potrzebował naprawić starych. Wobec tego stare i podarte można schować do szafy. (*Kładzie pończochy między gałzki sosny*) Niechaj w szafie odpoczywają. A teraz rekawy zakasać i marsz do kuchni do obiadu. — (*wychodzi do kuchni*).

SCENA 4

Ada: (*wchodzi energicznym krokiem, rzucił do namiotu leżek, rekawiczki i kapelusze harcerskie*) Lusiek! Lusiek! Lusiek! Co to! Nie ma Lusia! Ach zapewne jest w kuchni przy pracy. (*Podchodzi do stolika na którym leżą nowe pończochy*) Widzę, że drugi mąż cerował pończochy. Dobre chłopczyko! Ho! ho! Jak pięknie naprawił, zupełnie jak nowe. To naprawdę robota mistrzowska. (*Po chwili*) Możeby tak i moje suknie odnowił. Ale jak mu o tem powiedzieć? Już wiem! Napiszę w rozkazie, że suknie te mają być tak odświeżone i koniecznie. Wykonaniem niechaj się Lusiek dopocznie. On sprytny — wszystko potrafi, (*otwiera księgę rozkazów — pisze*) „Dalszy ciąg rozkazu z dnia Druhu męża! Porządek dnia w dalszym ciągu ma być podobny do wczorajszego; nadto rozkazuję, aby w godzinach przeznaczonych na rozrywki wszystkie suknie komendantki były doprowadzone do porządku. Mają być czyste, świeże i modne zrekonstruowane. Zmiany mogą powstać nietylko w upiękzieniu, lecz także i w deseniach oraz materiałach. Zabawa ta ma na celu rozbudzenie fantazji oraz uczucie estetycznych.” (*mówi*) Jestem pewna, że rozkaz wykona jak najskrupulatniej. Szkoda, że mi to przędzaj na myśl nie przyszło. Niepotrzebnie się tylko martwiliśmy brakiem sukien. (*Wchodzi ciocia*).

SCENA 5

Ada: (*sposztręga ciocię*) Kto to! Ciocięzka!
Ciocia: Takiego ptaszka w swoim gniazdku zapewne nie spostrzegłaś się. (*wnosiąc*)
Ada: To bardzo miła niespodzianka.

Ciocia: Nie mogłam wprost w domu usiedzieć z ciekawości, jak urządziłaś sobie obecnie życie.

Ada: Bardzo nam dobrze! Bardzo dobrze! Zaraz zaprezentuję ciocięzce Lusia, bo go jeszcze ciocia nie zna.

Ciocia: Znam go. Ja też tak pamiętam. Byłam już tu w czasie twojej nieobecności. Lusiek bardzo mi się podobał. To prawdziwy harcerz. Gdyby wszyscy mężczyźni byli tacy, inaczey się świat przedstawiał.

Ada: Właśnie! Ja też tak myślę.

Ciocia: To bardzo rozsądny chłopak. Wiele opowiadał mi o waszym życiu.

Ada: No i co? Jak się cioci uroydaje?
Ciocia: Jestem wszystkim oczarowana, nie wiedziałam, że można sobie tak przyjemnie życie ułożyć. Poznam się, że pragnę od ciebie nauczyć się tego nowego życia.

Ada: Zjemy w czasach szalonego postępu we wszystkich dziedzinach. Świat ustawicznie szuka nowych dróg walcząc ze starymi przesądami i zapomniałymi przyzwyczajeniami. To też i życie rodzinne trzeba odpowiednio nagiąć do wymagań doby współczesnej.

Ciocia: Tak! Ja też tę pleśń z domu swego usunę. Gdy tylko wrócę, porządek zaraz zmienię i też wszystko pęknę na twoj wzór. Bój się Boga, tak przecież dalek być nie może, aby mój mąż nie nie robił. Mężowie też coś powinni robić. Właściwie wszystkie roboty domowe mają wykonywać, bo są od nas fizycznie silniejsi.

Ada: Naturalnie, inaczey też sobie ich nie wyobrażam. My przecież czasu nie mamy na zajmowanie się gospodarstwem.

Ciocia: Ja też na to czasu nie mam. O! gdy tylko wrócę wszystko w domu zmienię. Teraz będę a ciocisza na praktyce przez kilka dni. Dobrze? Przyjmiesz taką praktykantkę harcerskiego gniazdko?

Ada: Ależ naturalnie.
Ciocia: Potem ułożę sobie cały plan działalności. Przedstawiam ciocię gruba księgi i cały dzień będę pisać rozkazy. Tylko jak męża przekonać, że rozk. z jest święty? To trochę trudniejsza sprawa.

Ada: (*patrzy na zegarek*) Druga godzina! Bardzo ciocięzka przepraszam, muszę zrobić zbierkę punktualnie, więc przerwyam rozmowę.

Ciocia: Dobrze, moja droga! Nie chcę wprowadzać do waszego domu nieporządku. Nie zwracaj na mnie uwagi. Ja pragnę być tu tylko kołnym obserwatorem.

Ada: (*otwiera drzwi od kuchni, gwizdże trzy razy na gwizdaku i powraca na środek sceny*) Zbiórka! Lusiek! Wybiega z kuchni we fartuchu, z zakasaniem rekawiami, osmarowując szafę i mąka, w rękę trzymając wielką choćkę. *Wchodzi ciocia słysząc komendę też się wpręca*).

Z WAKACYJNEJ WŁÓCZEGI

utwór wyróżniony na konkursie „SKAUTA”.

Musimy jednak znowu iść. Decydujemy się na marsz grzbietem mikroskopijnego łańcucha. A więc — w drogę. Oglądamy raz jeszcze kartkę uczuwając polutowanie dla jej autora. Narysować górę wśród tyłu szczytów! Zamiast coś charakterystycznego! Nie wyraźniej widzimy trzy warstwie. Obok niej rysunek drzewa na całą kartkę. Wiodziecie chciano zaznaczyć, że drzewo jest niezwykle wysokie. Ale szafaj tu drzewa w górach! Z podobnym skutkiem możnaby szukać igły w stogu siana. Owzems, można znaleźć, trzeba mieć szczęście.

Pora jest już dosyć późna. Jakos sobie damy przyznając, że „Bajka” jest świetnym łańcuch górski rozdziela się, a potem znowu łączy, tworząc kotlinkę. Kotlinka owa jest niezalesiona i o dziwno... na dzień jej mamy stawek. Nie rozumiem, skąd tu się mógł wziąć staw. „Maks”, który na bliskie stoki z pewnym geologiem utrzymuje, że to jezioro polodowcowe. Mam wrażenie, że takie jezioro powinno być o wiele większe. Nie sprzeczą się jednak. Nie znam się na geologii. Lecz tego co na brzegu stawka ujrzeliśmy nie miał wytlumaczyć nawet sam „Maks”. Wysoka wierzba! Wierzba tu jest. Wprawdzie niezbyt wysoko, ale wokół same jodły. Schodzimy niżej i już nie wierzymy własnym oczom. Pod wierzba lilija harserska ułożona z kamieni. Dochodzimy do przekonania, że to owo drzewo, które miało być dla nas drogowkazem.

Szybko wypiłmy herbatę i zabieramy się w dalszą drogę. Na kartce uwaga, żeby iść w kierunku cienia rzucanego przez drzewo w południe. Wprawdzie południe już dawno minęło, ale przecież mamy kompas. Idziemy w kierunku północnym.

Godzina 18. „Wilki” rowiny już gotowate kolację. Rzeczywiście, spostrzegamy nikły dymek unoszący się nad lasem. Podchodzimy bliżej. Słychać gadanie kwoki. To ulubiany „śpiew” „Bajki”, „Maks” i „Bajka” — to przewidnia obywatel. Tak jednemu jak i drugiemu na imię Józek. Postanawiamy zająć z przeciwnej strony. Cichutko, bezszelnie wchodzimy pod mały dwosobowony namiot. Zdejmujemy plecaki. O kilka kroków nad ogniskiem wisi kociołek. Obok na kamieniu siedzi „Bajka” w krasnych portkach, patrzy smętnie w ogień i... gładze. Zachowuje się całkiem nie po skautowemu. Zaczynamy obaj piąć. „Bajka” zrywa się i pędzi do namiotu.

Jakie bywa powitanie w takich razach, to chyba każdy wie, kto spotkał osobę znaną w okolicy, gdzie był poraz pierwszy.

Pytania i odpowiedzi padają jak z karabinu maszynowego. Dowiedzieliśmy się, że

„Wilki” poszły już na wycieczkę, z której wrócą do domu, ale, że zostawili dla nas prowiant. „Bajka” oświadczył, że miał zamiar wysłać po nas wyprawę ratunkową, bo sądził, że utopiliśmy się na szosie.

Postanawiamy wyruszyć dopiero po jutrze w drogę. Rozdzielamy pracę. „Bajka” gotuje kolację, my z „Maksem” „budujemy” namiot. Spinyamy wszystkie cztery płachty razem i stawiamy namiot mocący wygodnie pomieścić nawet sześć osób. Robimy z cepełkami wygodne posłanie na trzech. Zdejmujemy buty, myjemy się.

Kolacja już gotowa. Z rozkoszą ją zjadamy przyznając, że „Bajka” jest świetnym kucharkiem.

Siedzimy we trójce naokoło przysagającego ogniska. Mimo to nie jest ciemno. Srebrzysty blask księżycy i światła jasno polonki i lśniąca wstęga strumyka. Ciska panie wokół przerywana lekłym poszumem jodłowego lasu. Strumyk szemrze po kamienkach nieco głośniej. Prócz tego nie nie słychać. Białe namioty na dnie ciemnego lasu wyraza do olbrzymich rozmiarów.

Czas spać. Modlimy się cicho. Chwytny się za ręce.

Cicho „Bóg jest tuż” łączy się z poszumem lasu w jeden akt pokory i uwielbienia dla Stwórcy.

Cisza nocna. Psst! Mimo wszystko nie mogę zasnąć. Coś mnie dręczy. Przewracam się z boku na bok. Usiłuję dręczyć pytanie wydobyte z mej podświadomości. Już, już — jeszcze chwilką. Aha, jest!

Budzę „Bajkę”. Pytam się go:

— Słuchajno! Co to za góra była narysowana na tym planie?

— Jaka góra? Jaki plan? Daj mi spać!

Wstaję. Wyciągam kartkę z plecaka. Pokazuje mu. Oto tutaj.

— Co za góra? To jest przecież staw narysowany, nie żadna góra! — krzyczy „Bajka”.

Zasypiam spokojnie. Teraz już jest dla mnie wszystko proste jak... precel. „Jedrek”

KONIEC.

PSSTII!

Zdradzimy Ci pewną tajemnicę. „Skaut” przygotowują już w najbliższym numerze miłą niespodziankę dla swoich czytelników. Szczęśliwy 15. marca. Trochęcie cierpliwości a doprawdy opłaci się czekać. Wszyscy wyglądają więc z huciem serca następnego numeru. Co to może być? (patrz str. 76).



Puszczańskie drzeworyty

Stanisława Jakubowskiego

WIKTOR FRANTZ

Nie mieli słowianie szczęścia do swoich wielkich bógów. Posągi ich w drzewie przez jakiegoś pra-pra Wovra od którego się zapewne dalszego świątaka beskidzki wywodzi z grubszą wycośnane i jako tako wyrzeczane na obraz i podobieństwo ludzkie, niszczył najędźczą ogniem i mieczem, w popiół obrzucił i wodą spławił. Chronili się bóstwa w lasy, zaszywały w gąszcze, daleko od świętych gajów i bogatych modrzewiowych lasów. Przynęty drzące tu i ówdzie w chacie starej zacharki czy siwołosego wodza, przycażyły w jakiejś pieśni obrzędowej, w odwiecznym zwyżajczy czy



przesądzie, aby się w końcu rozspać w szary proch i zniknąć doszczętnie.

Kiedy w r. 1929 (ob. Skaut XV, Nr. 6) pisałem o bóstwach słowiańskich, w zakończeniu artykułu umieściłem taki ustęp: „Mitologia słowiańska czeka wciąż jeszcze na swego Hezjoda. Tylko do tego trzeba nie badacza naukowca, ale badacza-literata, który potrafił luki artystycznie i intuicyjnie wypełnić, dając nam obraz wprawdzie nie wiary, ale kompletny i tchnący duchem zamierzłej przeszłości”.

Jakie arcydzieło możnaby z tego tematu uczynić — pokazała nam Konopnicka w swoich „Przełicznycach” „Krasnoludkach”. Lęzyk jakim powinno się o tem pisać, odwrócił nam Orkan w swoim „Drzewiej”. Ale i konopnicka, że zabrakło tamtych, z nowych pisarzy, którzyby się chcieli porwać na zabraną i rogiem wroźnym i mieczem w pass. Kacperka, góralskiego skrzata — pokusił się o to może. Bo to co wypisuje Józef Watra - Przewoźnik to chyba dla odstraszenia innych i jako smutny przykład jak o tych rzeczach pisać nie należy.

Przyzwyczajony więc ogłoszenie o bibliofilskim wydaniu „Bogów słowiańskich” Jakubowskiego — jak

myślałem, że kiedy literaci nie dopisali, to może grafik, który świetnym ryłcem odbudował nam zamierzliki świat prasłowiańskich, spowiedliki bóstwa.

Dwa pomniki takich bóstw jakie mogły ongiś stawać i czcić nasi przaszczurzeni znajdujemy już w tecz prasłowiańskich motyłów, gdzie Jakubowski przedstawił nam dwa naprawdę piękne w swem prymitywizmie drewniane posągi Peruna i Swantewita (autor pisze: Swiatowit). Spodziewałem się odnaleźć ich teraz w księdze bogom słowiańskim poświęconej całej monografii, cały wyobrażony.

Na wstępie, na okładce widzimy rzeczywiście czworokątny słup, czterostrzawego bóstwa. To Swantewit! Wiadomym przybrał w rogiem wroźnym i mieczem w pass. Odwracamy kartkę, przed oczyma wynurza się wieszak retra, słowiański Akropolis. Idzie się doń biała ścieżka obsławiona symbolicznymi słupkami. Przez czarną bramę wyniosłej wieżycy idziemy schodami wwyż. I oto na progu wita nas autor po staroosko, „szedł na mioda”. Miod trączy, boć to je-



PERUNA SŁOWIAŃSKIEGO

szcze z piwnicy imé pana Syrokomi. Takim to miodem i takimi to słowy autor przypija do nas na wstępie:

„Przed latami, przed wiekami, na tej samej co my ziemi, żyli ludzie tacy sami, tylko z piersi gorętsiemi. Na wojaczkę meła chrobry, między swymi bracia dobyć, a choć jeszcze balwochwalec, żywsta wiry mieli w łonie i w oltarzy swych obronie byli razi umrzeć w walce. Grunt co dzisiaj socha orzem grobowcami ich usiany, w górach, lasach, ponad morzem, wszędzie znajdziesz ich kurhany, a z ich piersi to snop żyta, to wrozysty kwiat wykwiła”. (d. n.)



Ewa Gródecka: Tropem zastępu „Zórawi”. Nakł. „Na Tropie” Katowice — 1933. str. 103, cena 2 zł.

Jest coś tęsknego w klangorze kluczem ciągnących zórawi — jakaś tajemnicza, uparta tęsknica, że musi się gdzieś, dokądś, pociąć... ale niewiadomo dokładnie za czym i ku czemu wyciągnąć ramiona... Ten sam tęskny upór, nazwiny go „tęsknotą czynu”, unosi się zórawim klangorem nad kartkami tej książeczki.

Bo nie jest to opowiadanie — chyba, że wspomnienia zechcemy też tak nazwać, ale to i wspomnienia nie są — chyba, że marzenia nazwą to obdarzamy, ale te marzenia to właśnie przemysłiany w szczegółach i w praktyce system metody pracy harcerskiej. A może dlatego właśnie, że rzeczywistość, która minęła, jest tak bardzo podobna do marzenia, które nigdy rzeczywistością nie było, książeczka z tych różnych elementów złożona, stopiła się w jednolity i zwały całość.

Praca harcerska opiera się na dwu czynnikach: treści i formie, treść bez formy i forma bez treści jednakowo nie prowadzi do celu, trzeba umieć czynniki te harmonizować tak, aby forma odpowiadała treści warunkowała ją i podtrzymywała. Ode ideałach Ewy G. przewijająca przez wszystkie rozdziały. Zasadą kierowników pracy winno być ciągle wynajdywanie bodźców, któreby podtrzymywały tempo, zapał i dawały coraz lepsze rezultaty pracy. Jak to wyglądać może w praktyce, widzimy na przykładzie zastępu zórawi.

Zastęp takich zórawi nie jest czymś nieosiągalnym, mam wrażenie, że może się takim stać każdy zastęp, który przesiadł

próbę czasu, oczywiście z pewnym warunkiem, że od tego zastępu się pracę zaczyna i że z zastępów utworzy się drużyna, a nie jak to u nas najczęściej bywa z drużynami zastępów.

Miejsimi dotychczas jedną doskonałą książeczką o systemie zastępowym Philipsa, korzystały z niej i druchyni, obecnie trzeba będzie druhom sięgnąć do książeczki Grodeckiej. Książeczka ta nie uczy, ale porusza, nie daje gotowych schematów, ale porusza twórcze myśli, które można i trzeba przerabiać, zmieniać i modyfikować zależnie od potrzeb i warunków własnych.

Są pomysły takie, jak np. oryginalna choinka zórawi (s. 33) lub sposób uczczenia imieniom Marszałka (s. 49), które spełnioną zajądą nśladowców, a niewyżycie sposób przeprowadzania prób powinien się przedsię przynąć i spokój z powodzeniem, że godła zastępów i charakter pracy opisane w tej książeczce są równie bliskie chłopcom jak dziewczętom, a taka asocjacja jak zastępu Bobrow, na ile osobyistej i dotkniętej ambicji, jest bodaj częstsza nawet w męskich, niż żeńskich drużynach.

Książeczka napisana jest potoczysie i czyta się ją z zaleceniem. Z tropu na trop, bo tak autorka nazywa rozdziały, słudzi „wielką grę” zórawi. Zastrzeżenia budzi we mnie numeracja tropów, która ze względu na rozwój akcji, nawet jednosc głównych bohaterów powinna być ciągła, t. zn. że 2-gi „trop pierwszy” powinien być „piątym tropem”, a 3-ci „trop pierwszy” — trzynastym.

Trop VII. (s. 68) jest najlepszy, ma w sobie niespotykane w innych tropach niepowiolenia, brak kropki nad i. Przez opuszczenie tego rozdziału książeczka nieby nie straciła. Do usterek łatwych do usunięcia należy niedojelnie pisanie wyrazu d u c h n a czasem mylnie d u h n a. Poza to jest korekta staranna, zauważyłem tylko jeden drobny bład: na s. 77 w. 8 od dołu ma być zamiast d a j a — d a j e.

Praca dehny Grodeckiej powinna się rozgąć szeroko, witać ją z entuzjazmem i gorąco polecamy książkę tę trzeba przeczytać — warto kupić!

W. Frantz

CO TO MOŻE BYĆ?

Zaciekawiona tajemnicza zapowiedź na str. 70 administracja nie mogąc sama wpaść na trop redakcyjnej niespodzianki, zwraca się do czytelników z prośbą o pomoc. Kto do dn. 8. marca przysła trafną odpowiedź na pytanie, jaką nową niespodziankę „Skauci” przygotowują dla swoich czytelników, otrzyma w nagrodę piękną książkę. Wrazie większej ilości trafnych odpowiedzi rozstrzygnię losy.

GŁOS ZABIERAJA...

V. Lwowska Orłat. Onegdaj „Piątka” urządziła ćwiczenia polowe z kupą narcyzów i innymi, którzy nie tylko nieżda na deskach ale... jak się da. Po kilkumetrowym gonieniu za nieprzyjacielem (z dziwnym plecakiem) zgnielnie bractwo zuciło się na gorące kiełbasy skromnej długości pięciu metrów, które kandydat na wywodzącego w dużej kociolku ranozawodca da wygłodzonej bandy. Warto było oglądać te w ciągłym ruchu szezęki i roześmiana twarze wszystkich uczestników.

Po tem wzmocnieniu niespodziewanym posiłkiem ryknął sobie! „My chcemy czegoś ćwiczenia z gorącą przekąską” a echo z ośnieszonych wzgórz oddało: „! owszem!”

Miki-Maró

XII. Żeńska ze Lwowa. — Młoda nasza drużyna przeżyła pierwszą wielką chwilę od początku swego istnienia: uroczystość nadania patronki. Obraliśmy Annę Zawadzką, jedną z trzech, poległych w walkach niepodległościowych, Nazaretankę.

Po Mszy św., w czasie której ks. prof. Wyszyński wygłosił kazanie na temat bohaterstwa aaszch koleżanek, uccenienie, poprzedzone przez drużyny, przedeflowały przed tablicą pamiątkową, umieszczoną w furcie Zakładu. Następnie p. Czernowa, koleżanka bohaterkich dziewcząt, a obecnie przewodnicząca Kola Byłych Wychowank w kilku słowach skesłiała życiowy posładowania charakter Zawadkiej. Anka cięcha, słodka, wewnątrznie skupiona, dziwnie subtelna, wielką godnością „duchową” odznacza się od szarego tłumu uczennic. Niet jednak w tej nieśmiałej dziewczynce, która się bała przejść sama przez pokój, nie mogł przeczuć nieustraszonej bohaterki.

W listopadzie 1918 r. ledwie zaczęła wstawać z łózka po tyfusie, lecz wytrwała się natychmiast z domu, aby stanąć do służby. Organizowała kuchnie polowe w szkole Sienkiewicza i na Głównym Dworcu, równocześnie spędzając długie noce gruchotne na placówkach najbardziej wysuniętych. Uwielbiana przez żołnierzy, którym w najgorszej sytuacji walki nosła gorącą strawę, opatrunki i dobre usmiechnięte słowo, była wzorem karności i poświęcenia.

Po odliczu Lwowa poszła dalej z wojskiem. W bitwie pod Kamienobrodem walcząc mężnie została sierżantem. Potem poszła na front bolszewicki i pomimo sprzeciwu przełożonych, złożyła się jako sierżant sanitarna do służbowej Kompanii 4 pułku Legionów Pol. Wyjechała z dr. Jankozkow-

skim na front, gdzie w zaciętych walkach o Mińsk, opatrując ranego bolszewika, padła, rozszarpana granatem dnia 8. sierpnia 1919 r. Pochowana w wspólnym grobie w Mińsku.

Po tem krótkim przemówieniu, drużyna dla Bożenna Löwenherzówna imieniem drużyny przyrzeka, że nigdy nie ustaniemy w pracy harcerskiej i że szczerze i idealnie, które przeświadczył Ance, staną się też i naszymi.

A. Ujowska

Lwowska „Czarna Trzynastka” na zimowych łowach. Radosnym zgłębkiem „letniaków” i junaków z obozów P. W. rozbrzmiewająca w lecie Zelemianka, zamiera zacywając w zimie. Tego jednak roku było tam sporo uciechy i gloskiej radości. Oto w willi p. Kinszów rozlokowała się Lwowska „Czarna Trzynastka”, by tam, w centrum Bieszczańskich łowów zimowe odbyć.

I płynął dzień po dniu (było ich 15) a każdy wśród wesela, przynosząc coraz to nową wycieczkę (oczywiście na deskach) w niezane tereny np. na Zelene, w Dolinę Dżerzyna i Czarnego Wierchu.

Najpiękniejszą atrakcją jednak były niedzielne kuligi i skjoringi, a wreszcie ciekawą wycieczką do Czech. słowacji z wizytą do Braci Słowaków no i po „całkiem lepsze” pomarańcze (10 gr. sztuka).

A jakie cuda o obozie opowiadali uczestnicy po powrocie do szkoły!

A z jaką dumą zuch Dziunek „oczko obozu” pokazywał swoim kolegom „zagraniczne” (w całym tego słowa znaczeniu) buty? Słowo! Było morowo!

W sprawie „Scouting” Malkowskiego.

Na rzucone w Nr. 10 (r. XVI-ty) „Harcemistrza” przez dra Sedlaczka werwanie do „Lwowa” o zbadanie dział wyjęcia najstarszego podrednika skautowego t. j. „Scouting” A. Malkowskiego, zajął się ta sprawą dh. Wł. Wenzel, adm. „Skauta” i zbadal książkę „Drużyna Związkowej”, w której się książka drukowała.

Po odbyciu 9960 z dnia 23. III. 1911 r. znalazł zamowienie Związku Sokolego na druk „podrednika sokolego — Scau” 1200 egz. na lepszym i 300 egz. na cienkim papierze, form 8^o. Rachunek za ten druk wystawiono 1. IX. 1911 r. na kwotę 925.40 kor.

Mamy więc datę rozpoczęcia i ukończenia druku. Z tego można wnioskować, że data 8. IV. 1911 na podredniczkę dra Neugebauera umieszczona była na odbicie 1-tego ark. przed ukończeniem całości druku. Książka obejmowała 1 i 1/2 arkusza.

Na uwagę zasługuje, że Ossolineum książki tej w ewidencji nie posiada. Druk 300 egz. „bibliu”, wskazuje, że myślano o przeniesieniu książki do innych zbiorów.



Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

SKAUT dwutygodnik młodzieży harcerskiej wychodzi 15 i 30 każdego miesiąca
redakcja i administracja Lwów, ul. Długosza 1. 1. — P. K. O.: 152.818.

Prenumerata (przez P. K. O. Nr. 152.818) roczna zł. 3.50, I. półrocze (11 zeszytów) zł. 1.95, II. półrocze (9 zeszytów) zł. 1.60, kwartalna zł. 1.10, miesięczna 40 gr., numer pojed. 20 gr.

Zagranicą: W Austrii, Czechosłowacji i Węgrzech prenumerata roczna zł. 3.50, w innych państwach zł. 5.50. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal.

Dla abonentów pocztowych t. j. tych którzy zaprenumerują „Skauta” za pośrednictwem oddziału gazetowego urzędu pocztowego lub agencji pocztowej oraz listonoszów wiejskich, prenumerata miesięczna wynosi 35 groszy, dwumiesięczna 65 groszy, kwartalna 1 zł.

ZBIOROWA PRENUMERATA ULGOWA.

Przy zbiorowem zgłoszeniu conajmniej 5 (pięciu) prenumerat: miesięczna 25 gr. kwartalna 75 gr. roczna zł. 2.50

Godziny urzędowe codziennie z wyjątkiem świąt od 18⁰⁰—19⁰⁰ w lok. przy ul. Jacka 1, tel. 94-04.

Wydawca: Zarząd Oddziału Lwowskiego Z.H.P. Redaktor nacz. i odp. Mgr. Wiktor Frantz. Sekretarze red.: Janina Schönbornówna i Leopold Günsberg. Kier. adm. Władysław Wenzel

Ceny ogłoszeń: Cała strona 80 zł, 1/2 45 zł, 1/4 25 zł, 1/8 15 zł, 1/16 8 zł, 1/32 6 zł. W tekście 50 % drożej. Układ dwukolorowy o 50% drożej.

Komu poczta nie doręczy numeru

niech natychmiast

po otrzymaniu numeru następnego

wysła reklamację do Administracji

(Reklamacje są wolne od opłaty pocztowej).

Administracja załatwi reklamację bezpłatnie w ciągu miesiąca od daty zaginionego numeru. Później należy nadesłać za numer i przesyłkę 35 gr.

Szwalnia harcerska.

Szwalnia harcerska mieści się przy Jabłonowskich 1. 5. budynek Okręg. Urz. P. W. i W. F. lokal Komendy Chorągwi Harcerek.

W szwalni szyją harcerki: mundury żeńskie i męskie, bieliznę, chustki harcerskie, tarcze szkolne po 60 gr. Uszycie munduru tylko 3 zł.

Troska o przyszłość i z niej biorąca początek oszczędność, jest miernikiem kultury gospodarczej każdego społeczeństwa. Bo rozumna oszczędność jest tylko środkiem do celu, który sobie oznaczamy, a nigdy celem samym dla siebie.

Tą zbiornicą oszczędności społeczeństwa lwowskiego jest

MIĘJSKA KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE

UL. WAŁOWA L. 7 i 9 (Gmach własny)

Oddział I. przy ul. Gródeckiej 60 — **Oddział II.** przy ul. Żółkiewskiej 75

która przyjmuje wkładki oszczędności począwszy od 1 złotego codziennie od 8³⁰ do 13 i od 17 do 18⁰⁰.

Wydaje książeczki wkładkowe: „Wakacyjne, Gwiazdkowe i Posagowe”. Ponad zł. 4.000.000 — wypłaciła Kasa tytułem procentów za rok 1933 posiadaczom książeczek wkładkowych Kasy. W myśl rozporządzenia Prez. Rzplitej o komunalnych kasach oszczędności wkłady na książeczki wkładkowe Kasy posiadają charakter funduszów ulokowanych z bezpieczeństwem prawnym (pupilarnem).

Fundusze rezerwowe kasy wynoszą przeszło **zł. 4,750.000.**

Za wkładki i ich oprocentowanie ręczy gmina miasta Lwowa całym swym majątkiem.

TŁOCZONO W Drukarni Urzędniczej we Lwowie, Zielona 7. TELEFON 91-07